



# Juliusz Verne W MAGELLANII



ISBN 978-83-65753-16-8



**Juliusz Verne**



**W MAGELLANII**

Przełożyła Iwona Janczy  
Przypisy przygotował Andrzej Zydorczak

**Czterdziesta piąta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego: *En Magellanie*

© Copyright for the Polish translation by Iwona Janczy, 2017

18 ilustracji, w tym 5 kart kolorowych i 2 mapki: Damian Christ

© Copyright for the inside illustrations by Damian Christ, 2017

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:  
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a

**Wydanie I**

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2017

ISBN 978-83-65753-16-8

# Wstęp

W swej kolejnej powieści, zatytułowanej *W Magellanii*, autor znów zabiera nas w podróż, tym razem na same krańce Ameryki Południowej, gdzie już mieliśmy okazję przebywać na Wyspie Stanów, czytając o losach bohaterów *Latarni na Krańcu Świata*. Tym razem znajdziemy się na terenach należących częściowo do Chile, częściowo do Argentyny, gdzie z grupą emigrantów mających się osiedlić na wybrzeżach Afryki, rozbitków ze statku „Jonathan”, będziemy próbowali przeżyć i zbudować kolonię na Wyspie Hoste’a, jednej z większych wysp archipelagu, na który rzucił ich los. Będziemy uczestniczyć w ich życiu, podzielać ich smutki i radości, targani podobnymi wątpliwościami i rozterkami. Nade wszystko jednak będziemy śledzić losy głównego bohatera Kaw-Djera oraz dwóch tubylców, ojca i syna, jego przyjaciół, którzy odgrywają w całej powieści niepoślednią rolę. Czy dadzą sobie radę ze wszystkimi przeciwnościami, jakie zgotują im życie i natura? Czy zachowają swoje poglądy, swoje marzenia o dobrym świecie, czy też się ich wyrzekną? Tego wszystkiego dowiemy ze stronic powieści.

Jakże różni się ta powieść od utworu znanego polskim czytelnikom pod różnymi tytułami: *Rozbitki* czy *Ojczyzna rozbitków*, bardzo znacznie przerobionego przez syna pisarza Michela Verne’a, który wprowadził do tekstu wiele poglądów współczesnych młodszemu Verne’owi, co zupełnie nie było intencją jego ojca, żyjącego przecież wyobrażeniami właściwymi społeczeństwu z lat 70. XIX wieku.

Teraz polscy miłośnicy twórczości Juliusza Verne’a mają okazję zapoznać się z czwartą już powieścią, po *Latarni na Krańcu Świata*, *Sekrecie Wilhelma Storitza* i *Pięknym żółtym Dunaju*, której treść oparta jest na rękopisie Juliusza Verne’a, a to dzięki temu, że w 1986 roku miasto Nantes za kwotę sześciu milionów franków odkupiło od spadkobierców pisarza rękopisy, spoczywające do tamtego czasu w rodzinnym sejfie.

Utwór został napisany w latach 1897-1898, po raz pierwszy wydany w roku 1987 przez francuskie Towarzystwo Juliusza Verne’a, a później, w roku 1999, przez wydawnictwo Stanké w Kanadzie. Nigdy nie był publikowany z ilustracjami, jednak w wydaniu „Biblioteki Andrzeja” znalazły się liczne ilustracje czarno-białe i w kolorze wykonane przez Damiana Christa.

*Życzę przyjemnej lektury*  
*Andrzej Zydorczak*



# Rozdział I

## Gwanako<sup>1</sup>

Było to niezwykle wdzięczne zwierzę – o długiej i elegancko wygiętej szyi, zaokrąglonym zadzie, wysmukłych żyłastych nogach. Jego szczupłe ciało pokrywała czerwona sierść upstrzona białymi cętkami, a puszysty krótki ogon układał się w pióropusz. Powszechnie zwano je tutaj gwanakiem. Z oddali przeżuwacze te często brano za konie wierzchowe i niejeden podróżnik, zmylony ich powierzchownością, święcie wierzył, że oto widzi oddział jeźdźców przemierzający w określonym porządku nieskończone równiny tego regionu.

Ten tutaj, samotny okaz, odbiegł od oceanu na odległość ćwierć mili<sup>2</sup>. Właśnie, nie bez pewnej nieufności, zatrzymał się na grzbiecie pagórka wznoszącego się pośrodku rozległej łąki, gdzie suche trzciny kołysały się z szumem, a ich ostre końce wbijały się w kępy kolczastych zarośli. Zwrócone pyskiem pod wiatr, chłonęło zapachy niesione od wschodu wraz z lekkim wietrzykiem. Zaniepokojone, jakby spodziewało się zaskoczenia, z uważnym, zatrwożonym wręcz spojrzeniem, postawionymi na sztorc uszami, obracając się, nasłuchiwało, by w razie najmniejszego podejrzanego hałasu rzucić się do ucieczki. Bez wątplenia to pełne obaw zwierzę łatwo mógłby dosięgnąć pocisk myśliwego, gdyby ten wypuścił go ze strzelby o dalekim zasięgu. Mogłaby dosięgnąć je i strzała, jeśli strzelec byłby schowany w zaroślach lub za pobliską skałą. Jednak do rzadkości należy, aby jakiemuś *lazzo*<sup>3</sup> udało się okrążyć ruchliwe gwanako. Dzięki swej nadzwyczajnej zwinności, dzięki szybkości, która przewyższa nawet szybkość konia, wystarczy mu zaledwie kilka susów, aby skryć się, aby stać się nieosiągalnym.

Równina w tej części, gdzie wznosił się pagórek, bynajmniej nie stanowiła jednolicie płaskiej przestrzeni. Tu i ówdzie w zagłębieniach gruntu wybrzuszały się nierówności pozostawione przez burzowe nawałnice, które zryły glebę. Wzdłuż jednego z takich wałów, nie dalej niż tuzin kroków od naszego pagórka, przemykał tubylec, Indianin, którego gwanako nie mogło dostrzec. Półnagi, za całe odzienie mający tylko strzępy futra z dzikiego zwierza, giętki niczym wąż, czołgał się bezszelestnie, prześlizgując się pomiędzy trawami, tak by jak najbardziej przybliżyć się do upragnionego zwierzęcia, dla którego hasłem do ucieczki stałyby się najmniejszy bodziec. Jednakże gwanako i tak poczęło objawiać zaniepokojenie, jakby przeczuwało nieuchronnie grożące mu niebezpieczeństwo.

Istotnie tak było. W powietrzu rozległ się tylko świst rzemienia i rzucone z oddali lasso rozwinęło się w jego kierunku, a pasek skóry obciążony na końcu przytwierdzonym doń kamieniem nie dosięgnął głowy gwanaka, lecz ześlizgnął się po zadzie zwierzęcia, nie zaciskając się na nim.

Rzut był chybiony. Zwierzę, żwawo odskoczywszy, uciekło co sił w nogach. Indianin, który dotarł na szczyt pagórka, widział je dosłownie tylko przez moment, gdy zniknęło za zwartą ścianą drzew porastających równinę po tej stronie.

Ale choć w tej chwili gwanaku nie groziło żadne niebezpieczeństwo, to Indianinowi przeciwnie, znalazł się bowiem w poważnych tarapatkach.

Zwinąwszy lasso, którego koniec przytroczył do pasa, już, już zamierzał zejść ze wzniesienia, gdy wtem kilka kroków od niego rozległ się wściekły ryk.

Prawie równocześnie jednym skokiem u jego stóp wylądowała płowa bestia, która natychmiast rozprostowała się i skoczyła mu do gardła.

Był to jeden z tych amerykańskich tygrysów, nieco mniejszy niż jego azjatyccy pobratymcy, lecz których atak należy do równie przerażających – czyli jaguar<sup>4</sup> z rodzaju kotów mierzących od czterech do pięciu stóp<sup>5</sup> od głowy do ogona, żółtoszarej maści na grzbiecie, z marmurkowym deseniem na głowie i po bokach, upstrzony czarnymi cętkami, jaśniejszymi pośrodku niczym żrenica oka.

Tubylec gwałtownie odskoczył w bok. Dobrze znał siłę i drapieżność tego zwierzęcia, którego pazury rozdarłyby mu bez trudu pierś, a zęby zdusiłyby go jednym kłapinięciem szczęk. Niestety, cofając się, potknął

<sup>1</sup> *Gwanako* (guanako, *Lama guanicoe*) – ssak z rodziny wielbłądowatych, bliski krewniak lamy; wysokość w kłębie ok. 1 m; sierść wełnista, rudobrazowa; zamieszkuje góry Ameryki Południowej; łowny.

<sup>2</sup> *Mila* – tu prawdopodobnie mila angielska, równa 1609 m.

<sup>3</sup> *Lazzo* (wł.) – gość, typ.

<sup>4</sup> *Jaguar* (*Panthera onca*) – drapieżny ssak z rodziny kotowatych, trzeci największy kot na świecie po tygrysie i lwie i największy w Ameryce, zamieszkuje tereny trawiaste i tropikalne lasy Ameryki Południowej i Środkowej oraz pustynie południowej Ameryki Północnej.

<sup>5</sup> *Stopa* – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 30,48 cm; stopa francuska wynosiła 32,48 cm.

się i upadł jak długi. Był zgubiony, gdyż za cały oręż posiadał tylko rodzaj cienkiego noża z foczej kości, który udało mu się wyciągnąć z pasa.

Uniósł ramię i gdy zwierz rzucił się na niego, z całej siły ugodził go tą bronią, zbyt znikomą przeciwko tak straszliwemu przeciwnikowi. Miał nadzieję, że gdy zwierz uczyni krok wstecz, jemu uda się stanąć na nogi i przyjąć bardziej obronną postawę. Zabrakło mu na to czasu. Jaguar, lekko ugodzony, następny skok wykonał prawie natychmiast, a jego pazury przygwoździły człowieka do ziemi.



W tej samej chwili rozległ się suchy huk karabinu, a jaguar, dosięgnięty kulą prosto w serce, padł niczym rażony piorunem.

W odległości stu kroków, ponad skałami nadmorskiego urwiska, jeszcze snuł się biały dym powstały przy detonacji. Na skale stał człowiek, który nadal trzymał karabin przyłożony do policzka. Gdy jednak zobaczył, że nie będzie potrzebny drugi strzał, opuścił broń, rozładował, ujął pod pachę i odwrócił się, spoglądając ku południu.

Po tamtej stronie, u stóp skalnego urwiska, rozciągał się szeroki widok na otwarte morze.

Człowiek ów pochylił się, wydając okrzyk, który uzupełnił kilkoma gardłowymi słowami, z mocno znaczną głoską „k”.

Nie był to jednak tubylec. Cała jego postać wskazywała na Europejczyka lub Amerykanina. Jego skóra, choć silnie opalona, nie była brązowa, nie miał też rozplaszczonego nosa wciśniętego pomiędzy oczami, wystających kości policzkowych czy niskiego cofniętego czoła ani też małych oczek ciemnej rasy. Przeciwnie. Czoło jego było wysokie i poorane licznymi zmarszczkami znamionującymi człowieka myślącego, a twarz – inteligentna. Miał równo przycięte włosy, już nieco szpakowate, podobnie jak i broda, której tutejsi mieszkańcy są prawie całkowicie pozbawieni.

Nie dałoby się określić jego wieku dokładniej niż w przybliżeniu do dziesięciu lat, lecz bez wątplenia liczył sobie pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką. Był człowiekiem wysokiej postury, sprawnym fizycznie, o żelaznym zdrowiu. Wszystko w nim wskazywało na wielką energię, która zapewne czasami znajdowała ujście w wybuchach gniewu. Cechowała go też potężna siła mięśni. Rysy jego twarzy znamionowała powaga, podobna nieco do powagi charakterystycznej dla Indian z Far Westu<sup>6</sup>, a z całej jego sylwetki biła duma, jednak nie była to egoistyczna pycha zakochanego w samym sobie, ale szlachetność gestów i postawy.

Po pierwszym okrzyku ze szczytu urwiska rozległ się drugi, który musiał być wołaniem do kogoś o tubylczym imieniu:

– Karroly... Karroly!

Minutę potem przez szczyt w szeroki u góry, a zwężającym się u podstawy masywie nadmorskiego urwiska, ciągnącym się aż do żółtego wybrzeża usianego czarnymi kamieniami, wyłonił się ów Karroly.

Bez wątplenia był to Indianin, typ zupełnie odmienny od białego, którego wejście na scenę zostało zaanonsowane tak nadzwyczajnym strzałem z karabinu.

Był to mężczyzna trzydziestopięć- lub czterdziestoletni, mocno umięśniony, o szerokich barach i wydatnym torsie. Jego duża kwadratowa głowa spoczywała na mocnym karku. Wysoki na pięć i pół stopy, miał intensywnie czarne włosy, przenikliwe oczy pod słabo zarysowanym łukiem brwiowym i rzadką rudawą brodę. Można by zaryzykować twierdzenie, że u tego osobnika niższej rasy po równo występowały cechy zwierzęce i ludzkie, jednak były to cechy łagodnego i pieśczośliwego zwierzęcia. Nie miał w sobie nic z drapieżnika, jego fizjonomia przywodziła na myśl raczej wiernego psa, jak na przykład te rozpowszechnione w Nowym Świecie<sup>7</sup>, które stają się nie tylko dobrymi towarzyszami, ale i prawdziwymi przyjaciółmi człowieka. Był jak oddane zwierzę, które przybiega na zawołanie pana i łasi się do jego ręki.

Obaj mężczyźni wymienili między sobą kilka słów w tubylczym języku, o którym była mowa wcześniej, słów na krótkim przydechu, sprawiających wrażenie, jakby połowa każdego wyrazu wypowiedana była w niższych tonach, a potem skierowali się ku miejscu, gdzie na ziemi obok zabitego jaguara leżał ranny.

Nieszczęśnik stracił przytomność. Z jego pooranej pazurami drapieżnika piersi wciąż cienkimi strumyczkami ciekła krew, zabarwiając na czerwono glebę. Jednakże, gdy poczuł na ramieniu dotyk dłoni, która odsunawszy grubą skórzaną odzież, odsłoniła pozostałe krwawiące rany, otworzył dotychczas zamknięte oczy.

Spostrzegłszy człowieka, który pospiesznie starał się udzielić mu pomocy, bez wątplenia rozpoznał go, gdyż wzrok jego rozjaśnił słaby blask, a ze zbiegających warg wydobyło się imię:

– Kaw-djer... Kaw-djer...!

Słowo to, które w tubylczym języku oznacza przyjaciela i dobroczyńcę, z całą pewnością tyczyło się białego, gdyż to on właśnie skinął głową na potwierdzenie. Było jasne, że sama obecność Kaw-djera uspokoiła tubylca. Wiedział, że nie znalazł się w rękach jednego z tych czarowników, fabrykantów guseł, sprzedawców magicznych sztuczek zwanych *yakamouches*, rodzaju podejrzanych masażystów wędrujących od plemienia do plemienia, zasługujących zwykle na najgorsze traktowanie, co zresztą często ich spotyka.

Ranny z lekkim westchnieniem wyciągnął ramię ku niebu, a następnie sięgnął dłonią do ust, jakby pytał, czy jego dusza wzniesie się w przestworza, a Kaw-djer, który oglądał jego obrażenia, odwrócił smutno głowę.

Oczy tubylca były w tym momencie zamknięte, nie widział więc tego aż nazbyt znaczącego gestu. Zresztą podczas gdy go opatrywano, nie wydał nawet najmniejszego jęku bólu.

Karroly, który wcześniej błyskawicznie zsunął się po stromym urwisku, wrócił z torbą myśliwską, w której znajdowało się puzderko<sup>8</sup> i kilka flakonów z wyciągiem z niektórych tutejszych roślin. Podczas gdy

<sup>6</sup> *Far West* (ang.) – Daleki Zachód, inaczej Dzikie Zachód.

<sup>7</sup> *Nowy Świat* – tak nazywano odkrytą przez Kolumba w 1492 roku Amerykę, w odróżnieniu od Starego Świata, tj. Europy, Azji i Afryki.

<sup>8</sup> *Puzderko* – pudelko, skrzyneczka, szkatułka.



on sam podtrzymywał na kolanach głowę rannego, Kaw-djer obmywał wodą spływającą z pagórka rany na odkrytej piersi krajowca i tamował ostatnie krople cieknącej krwi. Obrażenia bandażował szarpianami<sup>9</sup> zwilżonych zawartością jednego z flakonów. Połączył brzegi ran, a następnie ściągnął wełniany pas okalający mu biodra i obwinął nim pierś tubylca, tak by pas podtrzymywał opatrunki.

Kaw-djer z pewnością nie sądził, by tubylec, pomimo udzielonej mu pomocy, miał przeżyć. Żaden lek nie doprowadziłby do zablźnienia się ran, które sięgały głęboko wewnątrz, aż po żołądek i płuca. W każdym razie nie zamierzał opuścić nieszczęśnika tak długo, póki tliło się w nim jeszcze życie. Odwiezie go do obozowiska, które ten człowiek z pewnością opuścił, może nawet kilka dni temu, wybierając się na polowanie na gwanako, nandu czy wigonia<sup>10</sup>. Lecz czy teraz, bardzo osłabiony utratą krwi i gdy istniało ryzyko, że przy najmniejszym wysiłku jego rany znów się otworzą, tubylec znieśie ciężką drogę, zwłaszcza gdy ta będzie wymagała długich etapów marszu...?

Karroly skorzystał z chwili, gdy krajowiec otworzył oczy, aby zapytać:

– Gdzie jest twoje plemię...?

– Tam, tam... – odparł ranny, wskazując dłonią na wschód.

– To musi być cztery albo pięć mil stąd, nad brzegiem kanału – zauważył Kaw-djer. – To obozowisko Wallahów, którego ognie dostrzegliśmy nocą.

Karroly na znak potwierdzenia skinął głową z góry w dół.

– Jest dopiero czwarta – dodał Kaw-djer – ale wkrótce zaczyna się przyływ i u Wallahów nie będziemy wcześniej jak świtem...

– Tak... wiatr wieje z zachodu... ale... – odrzekł Karroly, unosząc ramiona.

– Bardzo słaby wiatr i który zapewne zamrze wieczorem – odezwał się Kaw-djer. – Jednakże podczas drogi aż do wyspy Picton poniesie nas prąd.

Karroly był już gotów, żeby ruszać.

– Unieśmy tubylca – powiedział Kaw-djer – a być może zdoła zejść na plażę.

Ranny, podtrzymywany przez Karroly'ego, ze wszech sił starał się utrzymać w pionie, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zemdłał. Trzeba było przenieść go na rękach.

Zresztą do morskiego brzegu było nie więcej jak sześćset kroków. Co do cennej skóry jaguara, to rozumiało się samo przez się, że gdy ranny znajdzie się już na plaży, Karroly po nią wróci.

Prawdę mówiąc, zabity jaguar był przepiękną sztuką, a jego skóra będzie wiele warta dla zagranicznych handlarzy. W tym kraju myśliwskie trofea stanowiły podstawowy przedmiot handlu, a utrzymywanie stosunków z handlarzami skór było powszechne.

Obaj mężczyźni zajęli się transportowaniem rannego. Ujęli go – jeden za nogi, drugi pod ramiona. Dzięki ich tężyznie ciało to nie było dla nich żadnym obciążeniem. Po obejściu podstawy pagórka i długiego ziemnego garbu skierowali się ku skalnej szczelinie; szli powoli, unikając gwałtownych ruchów. Od czasu do czasu, gdy z ust nieszczęsnego dobywał się bolesny jęk, zatrzymywali się. Lepiej było posuwać się jak najwolniej. Czas ich nie gonił, skoro i tak do obozowiska Wallahów nie dotrą wcześniej niż przed świtem.

Zresztą o tej porze roku, w miesiącu maju, który odpowiada listopadowi na półkuli północnej, słońce wciąż jeszcze wisało nad horyzontem. Górskie pasmo po zachodniej stronie nie zakryło go jeszcze, a tego dnia słońce wędrowało po idealnie czystym niebie, tylko gdzieniegdzie w jego niższych rewirach zmąconym lekką mgiełką.

Dojście do wyłomu w zboczu, od którego wiodła nad sam brzeg morza urwista ścieżka wśród skał, zajęło im prawie kwadrans. Pokonanie ostro opadającego w dół kamienistego szlaku usianego gładzami i ostrymi krzemieniami wymagało od nich ogromnej uwagi, by nie uderzyć się lub nie spaść w przepaść.

Nim jeszcze zaczęli schodzić ku wybrzeżu, Kaw-djer zarządził odpoczynek. Tubylec został złożony na ziemi, z plecami opartymi o ścianę zbocza. Czy nie otwarły mu się rany? Czy wstrząsy nie nadwyrężyły mu opatrunków...? I czy w końcu ten biedak w ogóle jeszcze oddychał...? Można było w to wątpić, widząc potworną bladłość jego twarzy, bo pomimo ciemnej cery jego czoło i policzki były sine.

<sup>9</sup> Szarpie – dawny materiał opatrunkowy, otrzymywany z poszarpanych nitok wyskubanych ze skrawków starego płótna lnianego lub bawełnianego (dziś zastąpiony przez watę i gazę).

<sup>10</sup> Nandu – rząd ptaków (*Rheiformes*) i jedyna w tym rzędzie rodzina (*Rheidae*); żyją na rozległych pampasach Ameryki Południowej; dwa gatunki o wysokości ok. 1,5 m; nielotne, zachowały stosunkowo długie skrzydła; upierzenie brązowoszare; wigoni, wikunia (*Vicugna vicugna*) – najmniejszy gatunek z rodziny wielbłądowatych, o wysokości do 80 cm, żyjący w południowej części Andów na wysokościach 3,5 do 5 tys. m, łowiony dla cennej wełny i mięsa.

Karroły spoglądał na niego, a przekonany, że życie już go opuściło na dobre, powtórzył identyczny gest, jak ten, którym Indianin powitał pojawienie się Kaw-djera. Uniósł dłoń najpierw do ust, a potem skierował ją ku niebu, równocześnie dał się posłyszeć leciutki świst wydobywający się pomiędzy jego warg.

W tej samej chwili Kaw-djer ukląkł przy rannym i pochylony nad jego piersią słuchał bicia serca. Serce biło. Jego kołatanie było prawie niedostrzegalne, lecz biło.

– Zaczekajmy – powiedział Kaw-djer i wyciągnąwszy z torby myśliwskiej jedną z butelek, wlał tubylcowi do ust kilka kropel mikstury, a zimne policzki rannego nabrały nieco kolorów.

Podczas tego postoju Karroły wrócił na pagórek po jaguara, by znieść go do podnóża urwiska. Kula nie uszkodziła skóry zwierzęcia. Na lewym boku znajdowała się prawie niewidoczna dziurka, nie poplamiała jej też krew. Wędrujący od plemienia do plemienia handlarze, którzy skupują skóry, dadzą za nią dobrą cenę – czy to w piasrach<sup>11</sup>, czy w tytoniu, czy w innych przedmiotach używanych podczas wymiany. Karroły uniósł zwierzę, odwrócił się, zarzucił je sobie na plecy i choć mocno obciążony, krzepko zawrócił ku urwisku, a długi ogon drapieznika zamiatał za nim ziemię.

Mocno zajęty Kaw-djer zaledwie poświęcił zwierzęciu rzut oka. Po raz ostatni osłuchiwał pierś tubylca, po czym podniósł się, ale wciąż nie dawał Karroły'emu hasła do wymarszu. Przeciwnie. Cofnął się ku wzniesieniu i wdrapawszy się na sterzący wyżej niż pozostałe głaz, dokładnie omiół spojrzeniem cały horyzont. Wydawało się, że nie mógł sobie odmówić, aby przed zejściem ze szczytu nasycić oczy i duszę widokiem rozległego terytorium, jakie się wokół niego rozciągało, by nasycić swoją duszę wspomnieniami, by – że tak powiem – poszybować ponad tajemniczym obszarem ujętym niczym w kadr pomiędzy ziemią a niebem...

Dołem odcinała się kapryśnie wijąca się linia brzegowa, na której czern skał kontrastowała z żółtym piaskiem plaży. One to znaczyły granice szerokiego na kilka mil kanału, którego przeciwległy brzeg rozmywał się w niewyraźnych smugach, a łuk morskiej cieśniny ginął z zasięgu wzroku. Od wschodu brzegi cieśniny były gładkie, a na dalekim niebie odcinały się tylko strome brzegi mnóstwa wysp i wysepek, którymi usiana była południowa część kanału. Na północy, jak okiem sięgnąć, piętrzyły się lodowce, na południu zaś rozciągał się ocean bez granic.

W sumie ani po wschodniej, ani po zachodniej stronie nie było widać wejścia czy wyjścia z kanału. Tak więc nie można było też dostrzec żadnego z końców tego wybrzeża, wzdłuż którego ciągnął się wysoki i potężny urwisty masyw.

Na północy rozciągały się bezkresne łąki i równiny, poprzecinane kilkoma strumieniami, których wody płynęły tym rozległym pustkowiem, albo mozolnie ryjąc sobie przejście w kamienistym podłożu, albo spadając z wysoka w postaci hałaśliwych kaskad. Na widokregu wznosił się w nieładzie zaokrąglony masyw górskiego łańcucha, którego wysokość pozwalała dostrzec go bez trudu w promieniach lśniącego światła z odległości pięciu lub sześciu mil. Tu i tam, na całej powierzchni tych olbrzymich pampasów<sup>12</sup>, leżały niczym zielone wysepki gęste lasy, pośród których na próżno byłoby szukać ludzkich osiedli. Ich czarne wierzchołki zabarwiała purpurowo zachodzące słońce, które już, już miało się schować za ścianą gór po zachodniej stronie.

Po przeciwnej stronie zatoki nadbrzeżne skały wyraźnie nabierały większych proporcji. Pionowe ściany urwiska wznosiły się bez końca coraz to bardziej karkołomnymi piętrami, a dwanaście mil dalej gwałtownie wyrastały ostre szczyty, które ginęły gdzieś w górnych strefach nieboskłonu. Jeden z tych szczytów był na wierzchołku zaokrąglony na kształt balonu, a w rozrzedzonym, przezroczystym powietrzu zdawał się być tuż, tuż... Jednakże ani swą masą, ani wzniesieniem nad poziom morza nie mógł się nawet równać z górotworem, który odcinał się po jego obu stronach. Ten, oparty na olbrzymim szkielecie orograficznym<sup>13</sup> gór zwieńczonych wiecznymi śniegami, pokrytych warstwami błyszczących lodowców, wznosił się wystarczająco wysoko, by sięgać w zimne rejony atmosfery, a jego wierzchołki dziurawiły najwyższe chmury, nawet i te powyżej sześciu tysięcy stóp nad poziomem morza.

Zresztą cała ta kraina sprawiała wrażenie nienadającej się do zamieszkania. Pusta, tak... lecz na pewno nie opuszczona! O nie! Nie ulegało wątpliwości, że musiała być uczęszczana przez Indian należących do tej samej rasy, co nasz ranny... czasem osiadłych, a czasem wędrownych, przemierzających tutejsze lasy i rów-

<sup>11</sup> *Piastr* – srebrna moneta hiszpańska z początku XVI wieku, podobna do talara, używana później w różnych krajach Ameryki Południowej; J. Verne ocenia ją wartość na jednego dolara lub pięć franków.

<sup>12</sup> *Pampasy* – równinne stepy porośnięte wysoką trawą, występujące w umiarkowanej strefie Ameryki Południowej.

<sup>13</sup> *Orograficzny* – odnoszący się do orografii, działu geografii, zajmującego się charakterystyką rzeźby powierzchni Ziemi; tu w znaczeniu: górski.

niny, żywiących się zwierzyną, rybami, korzonkami roślin i owocami, zamieszkujących *ajupy*<sup>14</sup> z gałęzi lub ziemianki, albo obozujących pod namiotami ze skór rozciągniętych na palach.

Ta sama pustka królowała na całej powierzchni długiego kanału. W zasięgu wzroku nie było widać ani żadnej szalupy, ani łódki z kory, ani pirogi z żaglem. Zresztą tak daleko, jak sięgał wzrok – ani z rozrzuconych od południa wyps i wysepek, ani z żadnego punktu wybrzeża, ani z występów nadmorskiego urwiska – nie unosił się dym świadczący o obecności ludzkich istot.

W sumie za wyjątkiem gwanaka, które uniknęło lassa, Indianina i jaguara zabitego kulą Kaw-djera żaden czworonóg, drapieżnik czy przeżuwacz, nie reprezentowałyby w tej okolicy świata zwierząt, gdyby nie to, że na wybrzeżu swawoliło kilka amfibii<sup>15</sup>, liczne pary brodzących dziobały na skałach morskie wodorosty, a stada hałaśliwych ptaków budowały swoje gniazda w skalnych wgłębieniach urwistego zbocza.

Jednakże kawałek dalej po pampasach od północnej strony zmierzał rząd nandu, tutejszych strusi, nieco mniejszych rozmiarem niż ich azjatyccy i afrykańscy pobratymcy, choć równie dzikich i szybkich. Tę ponurą pustkę wokół mąciło tylko przytłumione zawodzenie. Wydawały je pary wilków morskich<sup>16</sup>, zwierząt o niewiarygodnej zwinności, którym zdarza się wspinać po najstromszych zboczach nadmorskich urwistych brzegów aż do ich grzbietów, gdzie w kryjówkach zasadzają na nie myśliwi.

I w końcu najlicniejsze stada bujały w powietrzu – o wiele liczniejsze niż na powierzchni wody czy na ziemi – gwizdząc, ćwierkając i napełniając powietrze szumem swoich wielkich skrzydeł. Występowały tu białe niczym łabędzie albatrosy, wydrzyki<sup>17</sup> o długich walcowatych dziobach i prawdziwi tyrani wszelkich morskich żyjatek – kormorany o długich ogonach, a także wszelkie pletwonogi, rozkoszujące się ostatnimi słonecznymi promieniami, teraz w porze zstępowania gorejącej gwiazdy mniej palącymi, niż gdy jej tarcza pojawia się rankiem nad horyzontem.

Nie wydawało się, aby w tej chwili – po której zaraz nastąpić miał zmierzch, chwili niezmiennie naznaczonej pewnym smutkiem – Kaw-djer nieruchomy niczym posąg, wyprostowany na wystającej skale, uległ owemu wrażeniu. Jego oczy nie przestawały taksować bezmiaru ładu i morza. Niemal nie poruszał powiekami, bo też przyzwyczajony do spektaklu niewzruszonej pustki, spoglądał bardziej w głąb siebie niż na zewnątrz. Sprawiał wrażenie, jakby znajdował się we własnym świecie, z którego żadna siła nie miała prawa go wyrwać...

Trwał tak przez dobre kilka minut, a zamierający wietrzyk pieścił mu twarz, na której nie drgnął nawet żaden mięsień. Żaden gest nie przerwał mu skupionego bezruchu.

Aż w końcu skrzyżowane dotychczas na piersi ramiona opadły, a oczy skierowały się najpierw ku ziemi, a potem ku niebu, spomiędzy warg wymknęły się zaś słowa, które z całą pewnością stanowiły credo<sup>18</sup> tej tajemniczej osoby:

– Nie... ani Boga, ani pana!



<sup>14</sup> *Ajupa* – schronienie zbudowane z gałęzi, szałas.

<sup>15</sup> *Amfibia* – zwierzę mogące żyć zarówno na lądzie, jak i w wodzie; zwierzę ziemno-wodne.

<sup>16</sup> *Wilk morski* – tu: lew morski, otaria, uchatka patagońska (*Otaria flavescens*), morski ssak drapieżny z rodziny uchatkowatych (*Otariidae*), występujący u południowych wybrzeży Ameryki Południowej; sierść żółto-brązowa albo szarobrązowa, samce mają grzywę na karku; długość do 2,5 m, waga do 300 kg; prowadzi dzienny tryb życia; żyje w stadach złożonych z samca, samic oraz młodych; żywi się rybami i głowonogami, w poszukiwaniu których nurkuje na głębokość do kilkudziesięciu metrów.

<sup>17</sup> *Wydrzyki* (*Stercorariidae*) – rodzina ptaków z rzędu siewkowych; obejmuje 6 gatunków; ubarwienie brązowe, silna budowa ciała, długie skrzydła, palce spięte błoną; zamieszkują chłodne morza wokółbiegunowe; największy z nich to wydrzyk wielki (skua, *Catharacta skua*), o długości ciała 57-63 cm.

<sup>18</sup> *Credo* – poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu; w religiach chrześcijańskich: zbiór głównych zasad wiary.

## Rozdział II

### Wzdłuż kanału

Kaw-djer odwrócił się do Karroly'ego i powiedział w narzeczu Indian:

– Dwie osoby do przetransportowania Indianina do szalupy bez niepotrzebnych wstrząsów to wcale nie za dużo. Zostaw tutaj jaguara, jeszcze po niego wrócisz.

Rzeczywiście, w tym momencie najtrudniejszym zadaniem było zejście wyciętą w zboczu ścieżyną, doprowadzającą do plaży. Miała tak duże nachylenie, że aby na nią wejść, trzeba było się wspinać na czworakach, a ześlizgiwać po niej – aby zejść. Ranny nie odzyskał przytomności, a jego pierś unosił płytki, nieregularny oddech. Jednak Kaw-djer zamierzał dowieźć go do obozu Wallahów, nawet martwego.

– Być może – powiedział – będzie już tylko trupem, ale bliscy powinni zobaczyć go po raz ostatni.

Schodzenie w dół rozpoczęło się z wielką ostrożnością oraz uwagą mającą oszczędzić im upadków. Karroly dwoił się i troił, ujawniając nadzwyczajną energię, wyginając się w łuk, wbijając stopy w podłoże na wypukłościach skalnych i podtrzymując ciało, którym kierował Kaw-djer. Zdarzały się im małe lawiny kamieni, które mogły ich obu za sobą pociągnąć. Jednak wystarczyło dziesięć minut, aby znaleźli się u wylotu szczeliny na plaży.

Tam znów się zatrzymali, co Karroly wykorzystał, aby wrócić po zabitego jaguara. Zniósł go do podnóża urwiska, co jednak nie odbyło się bez trudu, ale bez szkody dla futra.

Gdy Karroly ponownie znalazł się na plaży, Kaw-djer, który właśnie nadsłuchiwał serca Indianina, podniósł się, nie mówiąc ani słowa.

Poniesli rannego plażą naszpikowaną skałkami i usianą niezliczonymi muszlami morskimi.

Na jej krańcu, utrzymywana przez cumę, w takt przypływu lekko huśtała się łódź. Była to dwumasztowa jednostka, różniąca się mocno od indiańskich piróg. Solidnie zbudowana i nakryta pokładem od dziobu po nasadę tylnego masztu. Jej otaklowanie<sup>19</sup> przypominało bretońskie łodzie łowiące sardynki, których przedni żagiel zahaczony na stendze<sup>20</sup> i sztywno rozpięty na sztagu<sup>21</sup> może służyć za foksztaksel<sup>22</sup>. O wiele lepiej niż krajowe łodzie, z ich żaglami z plecionki, pływakami<sup>23</sup> i pagajami<sup>24</sup>, szalupa ta była przystosowana do zapuszczania się poza wody kanału i wzdłuż wodnych przesmyków prowadzących na otwarte morze. W łodzi znajdowało się z pół tuzina skór wigoni i gwanak, zabitych podczas tego rejsu.

Indianin, który został wniesiony i ułożony pod pokładem na wiązce suchych traw, nie odzyskał świadomości.

Karroly powrócił do podnóża urwiska, zarzucił sobie jaguara na plecy, a następnie złożył go w tyle szalupy. W tym czasie zostały postawione oba żagle. Wystarczyło kilka podmuchów, by łódź oddaliła się od brzegu, i gdy ten już jej nie zasłaniał, na rufie dało się odczytać nazwę: „Wel-Kiej”, co w języku tubylców oznacza mewę.

Była prawie piąta, tak więc jeszcze przez najbliższych sześć godzin siła odpływu miała ciągnąć ich wraz z wodami kanału na wschód. Łódź, raz pochwywszy prąd, utrzymywała się w stałej odległości jednego kabla<sup>25</sup> od lewego brzegu. Dzięki resztkom północno-zachodniej bryzy<sup>26</sup> sunęła dość szybko po spokojnym niczym jezioro akwenie, otoczonym wyniosłymi brzegami. Od czasu do czasu, gdy kapryśne podmuchy wiatru napływały przez szerokie pęknięcia w klifie<sup>27</sup>, żagle się wzdymały. W takich chwilach „Wel-Kiej” zostawiała za sobą bardziej wyraźny ślad, a Karroly, który sterował, był w gotowości do poluzowania szota<sup>28</sup> głównego żagla i w razie potrzeby skręcenia sterem na wiatr. Lecz, jak to już było powiedziane, wietrzyk wraz z zachodem słońca stopniowo zamierał i pół godziny później łodzi pozostała już tylko siła prądu.

<sup>19</sup> *Otaklowanie* – wyposażenie statku we wszelki sprzęt związany z napędem żaglowym.

<sup>20</sup> *Stenga* – przy wieloczęściowym maszcie druga od pokładu część masztu (pierwszą jest kolumna).

<sup>21</sup> *Sztąg* – lina służąca do zabezpieczenia przed wyginaniem się masztu do przodu lub do tyłu.

<sup>22</sup> *Foksztaksel* – trójkątny żagiel rozpięty przy fokmaszcie.

<sup>23</sup> *Pływak* – element konstrukcyjny wystający poza kadłub łodzi wielokadłubowej, służący jako przeciwwaga lub podpórka.

<sup>24</sup> *Pagaj* – rodzaj krótkiego wiosła o zaokrąglonym piórze.

<sup>25</sup> *Kabel* – jednostka długości w żegludze morskiej równa 1/10 części mili morskiej, czyli 185,2 m.

<sup>26</sup> *Bryza* – wiatr poranny lub wieczorny, powstający wskutek nierównomiernego nagrzewania się powierzchni lądu i morza; w noc wieje znad lądu, w dzień znad morza.

<sup>27</sup> *Klif* (faleza) – urwisko brzegu morskiego lub jeziornego powstające na wysokich wybrzeżach wskutek niszczyielskiej działalności fal.

<sup>28</sup> *Szot* – lina olinowania ruchomego służąca do ustawiania wolnego rogu żagla najkorzystniej względem kierunku wiatru; szot jest liną napinającą pracujący żagiel i biegnie od niego w dół do pokładu, w stronę rufy.